

Zaproszenie na indyjski ślub

2 stycznia 2009

Małżeństwo było jednym z najważniejszych hinduskich sakramentów (samskara). Wraz z zawarciem związku małżeńskiego młodzieniec zaczynał nowy etap życia, stawał się grihasthą - panem domu.

Zaproszenie leżało na stole obok nadgryzionej przez mole książki Naipula i sterty poplamionych papierzysk. Było niewielkie, złożone w pół i wyglądało jak list od dawno niewidzianego znajomego. Na górze karty widniał szkarłatny napis: „Renu poślubia Rameśa”. Dalej: data, dwa tandetne, siwo-purpurowe serca i sztamkowa formułka zapisana kursywą: „Serdecznie zapraszamy na ceremonię zaślubin naszej córki Renu z domu Nair z Rameśem synem Narayana oraz na lunch, który odbędzie się po rzeczzonej uroczystości”. Biały arkusz zamknięty został arabeskowym wzorem tu i ówdzie zranionym różem. W formie i treści zaproszenia kryła się tęsknota za szczęśliwym i dostatnim życiem. Była tam również skryta obawa, którą parę tygodni wcześniej widziałem w oczach Renu.

Było wczesne popołudnie, różowawe chmury kłębiły się kapryśnie, rzec można zawadiacko, zakrywając niebieskie otchłanie. Renu szła dostojnie acz swobodnie niosąc opasłe tomiska traktujące o filozofii indyjskiej. Zmierzaliśmy do biblioteki. Przez chwilę rozmawialiśmy o naglących sprawach: zbliżających się egzaminach, przeczytanych lekturach i nadchodzącej porze deszczowej. Odcedzone, popołudniowe słońce podkreślało szczupły rysunek twarzy filigranowej hinduski. Ubrana w granatowe sari wydawała się równie subtelnie ciepła jak podmuch wiatru roznoszący wokół zapach jaśminu. Przez chwilę razem smakowaliśmy woń kwiatów porastających rozległe ogrody wokół biblioteki. Renu przymknęła migdałowe oczy i wyszeptała: Rodzice aranżują moje małżeństwo z synem wuja Narayana.

Słońce oparło się o kęs omszałego muru a zduszony warkot trójkołowej rikszy wdarł się w ciszę ogrodu. Kilku smukłych hindusów, śmiejąc się i klaszcząc w dłonie, przemaszerowało traktem obwodzającym mały skwer, na którym staliśmy. Ktoś zapalił biri, a za kokosowym gajem dwie brunatne krowy z nonszalancją przeżuwały kolejny kęs brudnej trawy. Za uniwersytecką biblioteką, jak okiem sięgnąć rozciągały się zielone tereny pagórkowatej Kerali, południowego stanu Indii znanego jako Boska Kraina. Kerala to tropikalne puszcze, dzikie, zalesione rozlewiska, usiane świątyniami wzgórze i pałace tonące w szarej, monsunowej mgle. To świat do którego niegdyś zawitał Vasco da Gama, miejsce gdzie doszło do spotkania starego Wschodu z Zachodem. Od nadmorskiego Calicut do stołecznego Trivandrum i od Cochin aż po Kannur codziennie ktoś otrzymuje szarą kopertę z równo złożoną kartą, opatrzoną tytułem „zaproszenie na ślub naszej córki”. Szlacheckie rody zamieszkujące tereny od perkatych wysoczyzn Waynard aż po obmyte morskimi wodami Kanyakumari: Nair, Nambudiri, Atikal – wszyscy dbają by ich córki i synowie wybrali odpowiedniego partnera życiowego...

Renu zanuciła dziecięcą piosenkę i tanecznym krokiem podbiegła do skłoniętego wiekiem drzewa. Zerwała parę czerwonych kwiatów o załzawionych płatkach i wplotła je w swe kruczoczarne loki. Zaśpiewała jeszcze jedną zwrotkę i zamilkła rozglądając się niepewnie wokół. Otoczył nas tłum hinduskich dwudziestolatków. Patrzyliśmy jak spacerują leniwie trzymając się za ręce, obejmując. Wydawało się, że ludzie ci witają się, rozmawiają, kłócą się i żegnają jakby od niechcenia. Jakby kolejne teatralnie wypowiedane zdania zamierały w nieokreśloności ich codziennego życia.

Obiecałem przyjść na ślub. Renu dotknęła opuszkami palców hibiskusa – miał słodki, rozkoszny zapach. Uśmiechnęła się. Trudno było mi określić jej uśmiech, lekki grymas z tajemniczą, cierpką nutą. W jednej chwili jej nastoletnia twarz wydała mi się jednak smutną niezgodą na szarą

rzeczywistość. Pomyślałem, że może to tylko złudzenie – ta pełna witalności dziewczyna nie sprawiała przecież nigdy wrażenia rozczarowanej swym życiem.

Pod wieloma względami Indie nigdy się nie zmieniły – tak samo smakuje tu serwowana na śniadanie masala dosa, krowy nadal przechadzają się ulicami metropolii, a ostatnie strony gazet zapełniają ogłoszenia matrymonialne. Prawie wszystkie zaczynają się od słów: „szukamy odpowiedniej małżonki dla naszego syna”, „szukamy przystojnego i bogatego męża dla naszej córki”. Tego typu formy zawierania związków małżeńskich są ogólnie przyjęte choć zdarzają się wyjątki: małżeństwa zawarte wbrew woli rodziców czy też wbrew nakazom astrologa.

Dzień 11 października jest dobrowróżbną datą, a małżeństwo zawarte w tym dniu będzie trwałe i szczęśliwe. Tak powiedział astrolog. Wszystkie szczegóły dotyczące ślubu zawsze konsultowano z Rajeshem Kumarem, astrologiem mieszkającym nad brzegiem Brahmaputry. Taka była tradycja rodu Nair, z którego pochodziła Renu. Pan Kumar odczytał prawdy zapisane w gwiazdach: porównał horoskop córki Naira z datą urodzin przyszłego zięcia i, przy ogólnym westchnieniu ulgi, powiedział, że rodzice nie mogli wybrać lepszego męża dla swojej córki. Rameś jest idealnym kandydatem dla Renu – tak mówią gwiazdy.

Gdy wieczorem czytałem kolejny raz treść zaproszenia, gwiazdy nieśmiało połyskiwały na bezchmurnym niebie. Za oknem raz po raz wiatr przeczesywał korony rachitycznych drzew. Nagle zobaczyłem, że odludną ulicą keralskiej miejsciny przechadza się cień. Cień okazuje się Rameśem – przemyka w sztywnym garniturze wąskim, kamienistym traktem... Widziałem jak niesie, zamknięty poświatą księżyca, neseser. Idzie sztywnym krokiem, co chwilę przystaje. Gdzieś w oddali odzywa się ćakrawaka – ptak symbolizujący dozogonną miłość. Rameś zatrzymuje się, wykonuje gest jakby chciał zerknąć na zegarek. Po chwili rusza dalej: idzie zgarbiony i zamyślony. Któż odgadłby o czym myśli. Na pewno tysiące pytań zaprzętają mu głowę: czy praca,

którą załatwił mu wuj Rakeś będzie mu odpowiadała? Czy wynagrodzenie będzie wyższe niż czynsz nowego domu? Jak będzie wyglądała jego żona? Czy będzie miała lotosowe spojrzenie i wydatne usta jak księżniczka z baśni, którą czytał mu stary Mohan? Czy może będzie bosą tancerką w turkusowym sari? Rameś następnego dnia ma zobaczyć po raz pierwszy swoją przyszłą żonę. Wprost nie może się doczekać: słyszał o niej wiele dobrego. Opowiadano mu jakie lubi potrawy i że ma serdeczny uśmiech, studiuje na wydziale literaturoznawstwa i dużo czasu spędza w bibliotece. Tyle dowiedział się od jej rodziców. Nie wie jednak, że Renu uwielbia odwiedzać kuzynostwo w pustynnym Radżastanie, lubi zapach starych książek, kurzu, który osiada na ostatnich, niedoczytanych stronicach...

Rameś zaplanował już wszystko: będzie woził swoją młodą żonę czarnym motocyklem, zabierze ją w podróż do tonącego w zapachu nowomody Cochin. Kupi jej srebrny wisiolek i przy szklaneczce słodkiego ćaju będzie zachwycał się jej ciepłym głosem. A Renu będzie się uśmiechać, będzie cieszyć się jak każda dziewczyna w jej wieku. Potem pokaże zdjęcie ślubne koleżankom i będzie delectować się ich zazdrosnymi spojrzeniami. Na drugi dzień Lakszmi, znajoma ze szkolnej ławy, szeptem zdradzi jej szczęśliwą nowinę: "Rodzice obiecali mi, że za dwa lata ja również będę miała takie zdjęcie" Renu będzie jej gratulować i wspominać słodycz mlecznego pajas – napoju, którym dziewczyna częstuje w noc poślubną swego kochanka. Słodkość ta, ma stanowić preludium cudownych chwil, które będą odtąd treścią wspólnego życia małżonków.

W dniu zaślubin rodziny zebrały się w przestronnym gmachu jednego z teatrów. Na scenie ustawiono kwiaty, lampki i kadzidła przyprószone kolorowymi proszkami. Poproszono naczelnego bramina by stosownym rytuałem przywołał opiekuńcze bóstwa. Gdy tak się stało, delegacja kobiet z rodziny Renu udała się by przywitać pana młodego. Następnie, odziane w odświętne sari, kobiety z rodu Rameśa udały się by powitać jego przyszłą żonę. Wszystko przy ciekawskich spojrzeniach

przybyłych gości. Renu stała na scenie nieco zatrwożona, niby aktorka, która zapomniała swojej kwestii. Ceremonia była w istocie dopracowanym przedstawieniem – rytualną dramą odgrywaną przed publicznością złożoną z ludzi i bogów.

Błysnął flesz i pan młody wkroczył majestatycznie do obramowanego wotywnymi przedmiotami audytorium. Świeże, białe kwiaty wpięto we włosy Renu, jako symbol czystości i wierności małżeńskiej. Z widowni dały się słyszeć okrzyki radości – państwo młodzi ukazali się razem na scenie. Ceremoniał odbył się tak, jak wymagała tego tradycja. Bramin, pół-nagi szafarz ślubnej ceremonii, dokonał rytuału: konsekrowany ogień spopielił rozdrobnione ziele kuśa, a różnobarwne kwiaty rozrzuciono wokół zapalonych lampek oliwnych. W oparach obiaty zadźwięczały pradawne mantry.

Za oknem ukazały się krople deszczu a nagły podmuch wiatru rozwiał ułożoną z tęczowych proszków jantre – magiczny symbol hinduistycznego obrzędu. W podniosłej atmosferze, w burzy oklasków, pan młody zawiesił na szyi swej wybranki ozdobny medalik z magicznym grawerunkiem. Ten amulet i symbol małżeńskiej wierności olśnił zgromadzonych kunsztownym wykończeniem. Moment ciszy potem aplauz, trzask migawek i skandujący tłum. Gdy państwo młodzi zasiedli na wtoczonych na scenę fotelach, zgodnie z hinduską tradycją zostali nakarmieni mleczno-bananową strawą: otrzymali łyżkę pełną słodkiego pajas od każdego z przybyłych krewnych. Gdzieś za oknem audytorium zakwiliła ćakrawaka.

Jeszcze długo tego dnia młoda para delectowała się wiwatami wznoszonymi na ich cześć. W tłumie zniknął zaproszony bramin. Zabrano ze sceny oliwne lampki i zaproszono gości na wykwinny obiad. Długie stoły zazieleniły się liśćmi bananowca, których w Kerali używa się zamiast talerzy. Podano: ryż, morskie ryby i pikantne curry.

W zamierzonych czasach dla indyjskiej kobiety małżeństwo oznaczało koniec dzieciństwa, okresu gdy mogła mieszkać ze

swoją rodziną i spotykać się z przyjaciółmi. Po ślubie miała wyprowadzić się z rodzinnego domu, do posiadłości męża i zamieszkać z jego rodziną.

W południowych Indiach związki zawiera się często między dalekimi krewnymi, istnieje więc możliwość, iż para pozna się wcześniej. Na północy kraju w związki małżeńskie wchodzi często zupełnie obcy dla siebie ludzie. Większość hinduskich dziewcząt pragnie jednak jak najszybciej wkroczyć w dorosłe życie, stać się kobietą – panią domu.

Ślub córki to dla rodziny wielki wydatek – wymagany jest bowiem odpowiedni posag, prezenty dla rodziny pana młodego i huczna ceremonia weselna. Choć w różnych regionach Indii sama ceremonia ślubna może przebiegać nieco odmiennie, podstawowy schemat wywodzi się z pradawnych czasów. Ojciec panny młodej oddając córkę przyszłemu zięciowi, rozpałał święty ogień i składał obiadę dla bogów. Jednym z najważniejszych elementów celebry był akt trzykrotnego wkroczenia zaślubionych na rytualnie przygotowany kamień. Następnie młodzi przechodzili wokół, rozpalonego, przy inkantacji mantr, ognia – to tak zwana ceremonia siedmiu kroków. Jeżeli uroczystość odbywa się wieczorową porą, para często udaje się na przechadzkę. Podczas spaceru młoda małżonka powinna złożyć przysięgę wierności w chwili, gdy ujrzy gwiazdę polarną, symbol stałości uczuć.

Renu cieszyła się zdjęciami, które wykonano podczas uroczystości – opasły album przeglądała wielokrotnie. Przyglądała się uważnie każdej z fotografii. Wujostwo, stryjenka, szacowny kuzyn... na ostatniej stronie ślubnego albumu zdjęcia młodej pary wśród zieleni okolicznej dżungli. Dalej fotografia na której Rameś przenosił Renu przez wąski strumień w dziewiczym lesie. Poniżej napis: „Renu i Rameś – wiecznie zielona miłość”. Renu uśmiechnęła się do swoich myśli – pomyślała o przyszłych chwilach pełnych miłości: będzie to miłość zielona, świeża i niewinna, jeszcze niedojrzała – zielona jak pradawna Keralą: spętana pnączami bananowca, zamknięta seledynowymi lasami i szmaragdową tonią oceanu.

Autor: Maciej Karasinski

Źródło: [Wiadomości24.pl](http://wiadomosci24.pl)